

Włodzimierz Dajcz

Myśli moje

Wiersze zebrane

Autor: Włodzimierz Dajcz
Tytuł: Myśli moje
Korekta: Przemysław Paleczny
Wydawca: Wydaje.pl
ISBN: 978 – 83 -924289 – 4 - 7
Data wydania: Grudzień 2013

Wstęp

Posługiwanie się mową wiązaną fascynowało mnie od wczesnego dzieciństwa. Dużą przyjemność sprawiało mi zapisywanie we własnej pamięci poetyckich utworów polskich wieszczów, szczególnie wielkich romantyków. Rosnąc i dojrzewając w kulcie czytania, ulegałem pokusie osobistego zmierzenia się z wyzwaniem trudnej sztuki wierszowania. Pierwsze, nieśmiałe próby kończyły się natychmiastowym darcie papieru, który użyczył swej powierzchni mojej kulawej twórczości. Czyniłem to z panicznego strachu przed ewentualnym szyderstwem ze strony nieprzyjawnego, moim zdaniem, świata, który bezlitośnie strącał na dno pogardy profanów ze zwykłego podwórka tych, którzy podejmują próby znalezienia sobie miejsca u stóp Olimpu. Nie ustawałem jednak w pisaniu, choć ciągle nie udawało mi się polubić swoich wierszy i wierszyków. Nadal nie dawałem rady ośmielić się na tyle, aby wyjść z poetyckiej konspiracji. Kolejne zapisane kartki żółkły sobie dziesiątkami lat ukryte w głębokiej szufladzie. Te, które oparły się niszczyielskiej sile czasu, postanowiłem umieścić w niewielkim tomiku, aby uchronić je przed pograżeniem się razem ze mną w niebycie.

Karnawał na prowincji

Kolorowe światła kołyszą się
Na falach tytoniowego dymu.
Toną w ostrym zapachu taniego wina.
Trzaskanie musztardówek wyznacza nastrój.

Gorące twarze błyszczą w blaszanych,
Parujących alkoholem instrumentach.
Po parkiecie miota się okaleczony twist.

Zamroczonym korkociągiem wkręca
Bezwładne ciała za stoły,
Pełne zbrukanej obfitości.

Bezwstydne, lepkie pocałunki
Zachłannie pożerają światło.
Ktoś klnie, że to elektrownia
Wyłączyła prąd.

Jakiś ponury typ udziela lekcji boksu.
Żałośnie kwili butelka nim się roztrzaska.

Dwunasta.
Pijane osobniki zamykają się w swych muszlach.
Przez otwarte drzwi wiatr goni
Ławicę zmarzniętego śniegu.

19 lutego 1964 roku

Idę do Ciebie

Kiedy wieczór otwiera mi drzwi,
Rzucam kalendarz na śmietnik zapomnienia.
Ze smutkiem wiernym jak pies
Nasłuchuję wczorajszych szeptów.
Już słyszę, idę do ciebie
Z sadzą nocy na twarzy
Zastawiam sieci, żeby sny pochwycić,
Zanim świt zabłyśnie
W szklach twoich okien.
W zwierciadłach, w których
Przegląda się moja słabość.

Nie wróćę

Kolumny sosen dźwigają ulewę.
Świat brzemienny wodą zatopił się w nocy.
Ciszę wypełni deszcz twoją twarzą,
Gdy piszę dla ciebie.
Wiem, że nie wróćę w deszczowy lipiec,
Utopić smutek w twoich oczach.

Sulejów, 19 lipca 1969 roku

Czyny mógłbym

Wstrząsa mną ponury zgrzyt trybów rozpaczy.
Wszystko, co dobre we mnie opór bierny toczy.
W duszy mej nadziei cienia nie zobaczysz,
Gdyby duszę otworzyć mogły twoje oczy.

Gdzieś za sobą wyczuwam wyciągnięte dłonie
Ludzi, co po niewczasie spieszyli z pomocą.
Za mną z żalonym jękiem strzęp nadziei tonie.
Łkania ciche niby ptaki skrzydłami łopocą.

Lęk otwiera przede mną pustą przeraźliwie
Drogę, co brakło na niej nawet złych widziadeł.
Nawet na niej nie snują się zmory straszliwe,
Co w złe noce szarpały sny zatrute jadem.

Czyny mógłbym położyć za fundament słowom.
Smutkami, co już były, smucić się raz drugi.
Każdą minioną radość przeżywać na nowo.
Płacić staremu nowym nie zamknięte długi.

Zapisałbym duszę piekłu albo bym poskromił
Czynem zło, co na drodze stanęło przeszkodą.
Lecz co mogę, gdym ufność już dawno roztrwonil?
Co mogę przeciwstawić doznanyim zawodom?

Jest we mnie

Jest we mnie bezdroże
Gdzie w czasoprzestrzeni
Stoją zgrzebne trumny
Gniazda tajemnic
Pożądające zmartwychwstania

Jeden dawny uśmiech – wędrowiec przybłąda –
Dźwiga kostur męczeństwa
Na naiwnych wargach

Jest we mnie bezdroże
Gdzie Szatan-idiota
Płacze nad Syzyfem
Gdzie kamienie rodzą kamienie
Gdzie zło jest smętne
A dobro koślawe
Bratnie od wędrownych wiatrów
Poczerniałe świątki

Jest we mnie bezdroże
Gdzie ptaki szklane
Żelaznym zgrzytaniem
Znaczą umieranie

Precyzyjnym szlifem
Światła załamanie
Draży spróchniałe czaszki
Porzuconych bogów

Jest we mnie nienawiść i miłość
W bezpłodnym uścisku
W fałszywym zwierciadle świadomości
W kołtunie myśli mętnych
W pióropuszu słów
Twarde jak sens istnienia
Nieubłagane jak przemijanie.

Piotrków Trybunalski, 13 października 1970 r.

Córki marnotrawne

O myśli moje
Córki marnotrawne
Czy nigdy nie zdołam
Zebrać was razem
Wokół siebie

Czy jestem dla was ojczymem
Czy obcym zgoła
Że wymykacie się niesforne
Nieposłuszne woli rodziciela

Niepomne
Że to ja wydałem was na świat
Wykołysałem
Bronilem
Kiedy byłyście zbyt słabe
Żeby stawić czoła
Nieprzyjaznej rzeczywistości
Śmiertelny dałem wam byt
Obdarzyłem siłą sugestii

Przekazałem wszystko
Co ojciec
Ukochanym dzieciom
Dać może

Nieśmiertelne
Żyjecie własnym życiem
Niezależnie ode mnie
Własnymi chodźcie ścieżkami
Głuche na moje wołanie
Na łą

Rzadko kiedy
Wraca córka marnotrawna
Gdy moje wołanie posłyszysz
Wtedy przytulam ją do serca.

Jeszcze tylko...

Wiem, że odejść już stąd muszę,
Żaden czyn tego nie zmieni.
Jeszcze tylko wyrwę z duszy
Ten bolesny cień nadziei.

Tylko chlasnę kubłem czerni
Na jesienny płaszcz purpury.
Z bagien smętne mgły przepędzę.
Słońce schowam poza chmury.

Już nie muszę spuszczać głowy,
Że przeszedłem mimo zdarzeń.
Już nie będę z smutkiem płowym,
Szedł przez cmentarz śniętych marzeń.

Jeszcze tylko wiatr zagłuszę.
Zduszę w sobie zapach wrzosów.
Jeszcze tylko zgasić muszę
Błądną gwiazdę mego losu.

Piotrków Trybunalski, 16 października 1970

Przed świtem

W Sulejowie, jak przed każdym świtem,
Cicho gwarzą mgły gdzieś nad Pilicą.
W lesie pachnie piwem i żywicą,
Nad zdeptanym mchów aksamitem.

Nim z kościelnej wieży na wzgórze
Wiatr poniesie dzwonów śpiewanie.
Nim w kampingach pierwszy człowiek wstanie.
Pierwsze auto wzniesie wstęgę kurzu.

Nim się pierwsze podniosą okrzyki.
Nim się plaża w deptak zamieni.
Nim zabraknie dla lasu przestrzeni.
Nim na nowo napęlnią śmietniki.

W Sulejowie, świtem wśród lazurów,
Z rzeką płynie rybitwy wołanie.
Zanim słońce w barwie krwawej wstanie
Zza Opactwa poszczerbionych murów.

Sulejów, 12 lipca 1970 r.

Korowód

Wojciechowi Motyce, ku wiecznej pamięci.

Jego imię – znak wytrwałości
Nazwisko – symbol pracy
Jego życie skowronkiem zawisło
W wiecznym błękanie

Koń
Pług
Stary człowiek
O dłoniach z kory dębowej

Pług jak dłuto Fidiasza
Zgrzytem żelaza o kamień
Śpiewa poemat życia
Ponad przemijanie

A ziemia pokorna i cicha
Pręży się lekko – oddycha

Nie wierzysz
Na pole wyjdź o świcie
Zobaczysz jak idą ku słońcu
Spinając kłamrą ruchomą
Purpurową bliznę horyzontu

Nie zatrzymam czasu

Czasem bywają noce tak z ciszy utkane,
Że usłyszysz wyraźnie pod fali pluskaniem
Złoża ulotnych piasków gnanych przemijaniem,
Dla klepsydry natury z kamienia wyrwane.

Niebo obce w swej czerni, dalekie, nieznanne,
Wypełnione odległych światów migotaniem.
Nieskończonym w czasie i przestrzeni trwaniem
Przytłacza życie ludzkie chwilą odmierzane.

Marzę, by w takiej chwili ująć twoje dłonie.
Czuć ciepło twojej ręki, gdy się w moją wplata.
Ufać, że nasze szczęście na zawsze obronię.

Wiem, że nie zatrzymam czasu, co ulata,
Lecz wiem też, że kochając, życia nie roztrwonię,
Bo miłość równoważy wieczny byt Wszechświata.

Wiersz ułożony na trasie z Łodzi do Piotrkowa
Trybunalskiego, podczas wspólnych powrotów z
wykładów na Uniwersytecie z pewną dziewczyną z
Sulejowa.

Ostatni kurs

Drzwi trzasnęły. Autobus ruszył w kurs ostatni,
Wśród śniegów wędrujących, upatrując drogi
Światłami reflektorów. Odważnie, bez trwogi
Kierunek odnajduje pośród śnieżnej matni.

Chcąc zagłuszyć wnętrza charakter dodatni,
Zza okna przenikają złych wiatrów dialogi.
Z łańcucha fal tranzystor, jakby światu wrogi,
Skowytaniem się wciska w głos silników bratni.

Siedzisz obok. Rozmowa drogę nam umiła.
I jedno tylko pytanie ma świadomość droczy.
Powiedz skąd pochodzi szczęścia twego chwila?

Powiedz, skąd ją za tobą losu koło toczy,
Co twoje pełne usta uśmiechem rozchyła
I iskrami radości zdobi twoje oczy?

Piotrków Trybunalski, marzec 1970 r.

Pozólkły list

Człowiek nocą wśród dzikich bagien zagubiony,
Gdy odejdzie go rozsądek, intuicja zdradzi,
Przeklina błędny ogień, który go prowadzi
I drogę płacze nadzieją złudną omamiony.

Biorąc za rzeczywistość miraż oddalony,
Siłą i stanowczością – tak mu serce radzi –
Stara się marzenie swoje wyprowadzić
Z ciemnej matni w jasne życia strony.

Przeczytasz ze zdziwieniem, może skiniesz głową
I popatrzysz jak ginie list ogniem zwęglany?
A może kiedyś w cichą godzinę domową

Pomyślisz ciepło o kimś, kto swój los splątany
Na zawsze związał z tobą, zawierając słowom,
I wciąż jest przy tobie, choć niedostrzegany.

Szukanie

Nim się niebo od zorzy zarumieni żarem
Nim wiatr ciepły rozproszy mgły znad nizin
senne
Krople rosy zabłysną jak brylanty bezcenne
A róża zielen zachwyci purpurowym czarem

Mglistym rankiem przedwiośnie łązy nam roni
szare
A szarej ziemi słońca szukanie daremne
Niebo jak w dniu pochmurnym ołowiano-ciemne
Tak jakby było zatrute złej nocy koszmarem

Tak i ja zabłąkany w labiryncie życia
Niespokojny że już nowa złościła się jesień
Mgły rozniecałem wokół słowem bez pokrycia

A z tych mgieł ciepłą barwą wyłonił się wrzesień
Lustra marzeń wypełniły realiów odbicia
Ty zakwitłaś różą – gwiazdą moich uniesień

W 1962 roku miała miejsce wstrząsająca katastrofa kolejowa pod Moszczenicą. Ta wielka tragedia zainspirowała mnie do napisania wiersza, któremu dałem tytuł „Żniwa”.

Żniwa

Stało się, że wypełniły się dni,
A ziarno rzucone przez Pana
Wydąło pszenicę i kąkol.

Widziałem aniołów
W roboczych kombinezonach,
Rozkręcających szyny.
A Pan otoczony świętą niebieską
Okiem dobrego gospodarza spoglądał,
Żeby robota szła sprawnie,

Przyniesiono wagę,
By życie ludzkie oceniać.
A który owoc dojrzały,
Do zbioru był przeznaczony.

Naliczono czterdziestu czterech sprawiedliwych.
Zbliżała się godzina egzekucji.
Szyny zadrżały i stukanie kół pociągu
Wypędziło echa leśne z zacisznych kryjówek.

Zastygłem odlewem.
Pan zamknął oczy i uszy moje.
Otwierając oczy, zobaczyłem Szatana
W strażackim mundurze,
O twarzy smutkiem spopielalej.
Gasił sikawką resztki pożaru.

I widziałem Pana.
Odchodząc, próbował nie patrzeć
Na strach pełzający wokół rumowiska.

Imieniny

Kazimierze i Albinowi Dajczom

Kochani solenizanci, jak zwyczaj każe stary,
Przyjmijcie od nas życzenia, kwiaty i te skromne dary.
Niech od Was radość życia nigdy nie ucieka,
A smutek i nieszczęście mijają z daleka.

Lecz by Was omijały życiowe frasunki,
Życzymy, niech się wypełnią tylko trzy warunki.
Pierwszy to zdrowie, drugi zdrowie i trzeci też zdrowie,
I jeszcze tych kilka życzeń, które teraz powiem.

Niech Wam jak spokojna woda życie wolno płynie.
Wnuków niech Wam z piętnaście przybędzie w rodzinie.
Pracy niech Wam ubywa i niech Wasze stopy
Przemierzają kilkanaście krajów Europy.

Niech Wasze gospodarstwo znają w całej gminie.
Niech Wam kartofle rosną tak wielkie jak dynie.
Trzoda niech Wam się mnoży jak Hindusów kasta
I tuczniaka codziennie pięć kilo przyrasta.

Pod Waszym dachem jak zawsze niech panuje zgoda.
Niech Ojciec zawsze rześki, Mama zawsze młoda.
Niech Wasze ucho nigdy złych wieści nie słyszy,
A worki z dolarami omijają myszy.

Wasz dom niech przyjaciół jak najczęściej gości,
A Wasi wrogowie niech połamią kości.
Niech Was zmartwienie i kłopot omija,
A dziś niech rodzinne grono dobre trunki spija.

Hipokryci

Oburzony bezczelnością gminnych cwaniaczków i hipokrytów bijących zafalszowane pokłony papieżowi, miejscowy rymopis napisał i rozpowszechnił taki oto rzekomy dialog burmistrza z Jego Świątobliwością:

Ojciec Święty do burmistrza:

– Synu, z czego Kamieńsk słynie,
By papieżowi dodać blasku?
Chociaż sześćset lat, gdy minie,
Także godne jest oklasków.
W imię Boże, jakie czyny
W dwutysięcznym wielkim roku
Podejmuje Zarząd Gminy,
By rozniosła się szeroko
Sława miasta, co papieża
Chce za życia wznieść na cokół?
Gminna władza co zamierza,
By zasłynął Kamieńsk wokół?

Burmistrz:

– Ojczy Świąty, gminna władza
U podnóża Kamieńsk – góry,
Las karczuję i wygładza
Sto hektarów, wnet na których
Firma Sater z Francji rodem,

Z całej Polski złoży śmiecie.
I tak z naszym starym grodem,
Znanym dziś tylko w powiecie,
Zwiąże nowe dumne miano.
Bo gdy skończą się roboty,
Każdy zdziwi się tą zmianą
Miasta w śmietnik Europy.

I zadumał się Jan Paweł,
Bo choć wielkim tego świata,
To nie wiedział co uczynić,
Czy się zaśmiać, czy zapłakać.

Dziennikarka, pisząca w lokalnej gazecie artykuły o Kamieńsku, zadowalała się przetwarzaniem informacji przekazanych jej przez rzecznika prasowego Urzędu Miejskiego w Kamieńsku, a rzecznik chwalił okrutnie swoich kolegów, broniących intruzom dostępu do gminnego rogu obfitości. W tej sytuacji autor, piszący dla podziemnej gazetki, postanowił skarcić młodą reporterkę za brak własnego zdania i krytycznej oceny władców gminy. Napisał więc ucieśny wierszyk i rozpowszechnił go ku ucieśze gawiedzi i bezsilnej wściekłości ośmieszonyj dziennikarki.

Kasia

Raz mała Kasia, niezłej urody,
Na dziennikarstwa wspięła się schody.
A tam chłonęła różne mądrości,
Jak wytrwać w prawdzie i rzetelności.

W tej rzetelności Kasia by trwała,
Ale rzecznika Rysia spotkała.
Dziś, kiedy Kasia spotka się z Rysiem,
Co Rysio skłamię, Kasia napisze.

Robi się z tego zabawa przednia,
Urządnik gminy zamąca w mediach.
Czy nie wie Kasia, o co tu chodzi?
Nas w błąd wprowadza, a sobie szkodzi.

Ty, nasza Kasiu, trzymaj się dzielnie.
Poszukuj prawdy i pisz rzetelnie.
I nie pisz tego, co Rysio chce.
Oj, Kasiu, Kasiu, popraw się!

Wstrząsająca tragedia na smoleńskim lotnisku miała miejsce 10 kwietnia 2010 roku. Kilka dni później powstał wiersz, który stał zaczynem dla cyklu felietonów publikowanych na internetowych forach dziennikarstwa obywatelskiego.

Katastrofa

Z wojennych ruin przyszło dźwigać kraj.
Choć ciężko było, nikt nie narzekał.
Partia na ziemi obiecała Raj,
W socjalizmie, co szczęściem człowieka.

Władza wprost piała z samozachwytu,
Lecz do ideału wciąż daleko było.
Represji więcej zamiast dobrobytu,
A szczęście też nie nadchodziło.

Gorzej się żyło z upływem lat,
Więc mocno burzył się lud roboczy,
Aż się rozsypał pojałtański ład.
Elektryk w stoczni płot przeskoczył.

Styropianowy etos u zarania zgasł,
Ale wspomnienia do dziś są żywe.
Jak sprytni do salonów wdarli się na czas,
Gubiąc naiwnych pod budkami z piwem.

Naród bezradny stał się wobec chwytów,
Którymi chciwość pchała do celu
Funkcjonariuszy – nowych celebrytów
Zawłaszczających dobra PRL-u.

Rozdwoiła się wkrótce ta nowa elita,
Co po komunie zajęła kwatery.
Jedna grupa sutanny się księżej chwyta,
Drużyna w przedsiönku służy finansjery.

W mediach, co marnym gustom sprzyjają,
Walczą na piary do upadłego.
Gromadę błaznów i klakierów mając,
Dla pomieszania dobrego i złego.

O solidarności ludzkiej w krąg krzyczeli,
A wykazali, każdy to przyzna,
Heroizm w walce o krzesło w Brukseli,
Pod sztandarami: Bóg, Honor, Ojczyzna.

Taka w szaleństwie jest tym metoda,
Że się przed niczym formacja nie cofa.
Więc, czy to ciągle kompromitacja?
Nie, totalna to już katastrofa.

Danielów, 6 czerwca 2010 r.

Odłamki czasu

Podczas pisania książki „Odłamki czasu” powracające wspomnienia zaowocowały kilkoma nostalgicznymi wierszami. W ten sposób powstały utwory: „Strefa młodości”, „Zapowiedzi” i „Chłopcy z Las Vegas”.

Strefa młodości

Mam w pamięci spisane
Twarze dziewcząt z Folwarku,
Wędrujących z młodością
Szlakiem kina i parku.

Jak zwierzają się siostron
Ze sercowych swych spraw,
Albo śmieją się głośno
Z mocą szesnastu lat.

Każda z nich najładniejsza.
Która pierwsza, dziś nie wiem?
Wiem, że godny jest wiersza
Czar Marylki Stankiewicz.

Przy niej Ela Ałaszewska
Od sekretnych słówek,
Powiernica dzieciństwa,
Tajemnych kryjówek.

Bryluje, szyk nadaje,
To głośno, to się wycisza,
Marysia Ogrodniczak,
Z nią siostry, Dorota i Krysia.

Także innym dziewczynom
Służę wdzięk i uroda.
Ośmiela się Ala Warzyńska,
Uśmiecha się Błażniak Jagoda.

Lecz przepadł czas proroczy,
Marzenia zgasły złote.
Rzucam w objęcia nocy
Dręczącą mnie tęsknotę.

W świetle pamięci czytam
Zatarty zapis snów.
Odłamki czasu chwytam
W pogłos szeptanych słów.

W jesienno-zimowe popołudnia ogrzewana fabryczna świetlica w Woli Krzysztoporskiej kusila zziębniętą młodzież skromnym stolikiem do gry w brydża lub cymbergaja.

Zapowiedzi

Za znajomym zasiedli stolikiem.
W polityry rysach poznają
Metalowym oddane grzebykiem
Celne strzały z gry w cymbergaja.

Blat stolika, brydżowym zwyczajem,
Zajmie z kart konfiguracja.
Ogrodniczak Karol rozdaje.
Zaraz zacznie się licytacja.

Najpierw Stasiiek Kuciapa, znany
Z czapki ucznia o krótkim daszku,
Woła: „Karol dwa piki zagramy!
Nie wypuścimy z ręki tych ptaszków”.

Na to Marek, w szelmowskim geście,
O ripostę nie daje się prosić.
Pokazując na zgięty łokieć,
Cedzi: „Tu babcia koszyczek nosi”.

Lecz partnerom Karola i Staśka
Licytacja się z ręki wymyka.
Oni mają ostatnie słowo,
Mogą zagrać w piki szlemika.

Pedant czuje jak odwet go pali,
Chęć riposty dojrzewa najszczęsza.
Śliską kartą w blat stolika wali.
„Kiepsko z dupskiem” – zapowiedź pierwsza.

Zdzych Roksela, swoim zwyczajem,
Od emocji aż oczami mruga.
I następny celny cios zadaje.
„Kiepsko z dupskiem” – zapowiedź druga.

Wreszcie Pedant, rozpalony fartem,
Ruchem oczu krótkie błyski wznieca,
Po ostatnią sięgając kartę.
„Kiepsko z dupskiem” – zapowiedź trzecia.

Już pół wieku tak jakoś wyciekło
Od tamtego rozbitego szlemika.
Zdzisiek, Karol i Marek Lasota
Przy niebieskich grają stolikach.

A ty nie idź na Folwark zgredzie,
Bo z zaświatów tam głos ci powie,
Że dogrywki żadnej nie będzie,
„Kiepsko z dupskiem” – ostatnia zapowiedź.

Młodzież z Woli Krzysztoporskiej miała własną, oryginalną grę, łączącą elementy czystego hazardu ze sprawnością umysłową i fizyczną uczestników.

Chłopcy z Las Vegas

Po zimie długiej ziemia nie obeschła jeszcze,
A już duch hazardu wezwał kwiat młodzieży,
Żeby każdy się mógł z losem szczęścia zmierzyć
W grze za stodołami na ubitej ścieżce.

Nie sposób odgadnąć, bo na co i po co,
Kto wymyślił wtedy grę męską i twardą,
W której, smakując słodki grzech hazardu,
Można zdobyć pieniądze metalową tacą.

Janek Urbański pierwszy tacą błysnął,
Gdy z odległości tęgich siedmiu kroków
Posłał fałszem żelazo. Lecz upadło z boku,
A dysk ażurowy ślad w piasku odcisnął.

Syn szefa poczty przyglądał blond włosy
I zasepił twarz w trosce, bo marnie spudłował.
Za to Józek Piotrowski wyciepnął bez słowa
Swą słynną ołowiankę. Ta z precyzją kosy

Podcięła lekko ów słupek drewniany
I monety błyszczące w rulonie nad celem,
Spadły jak na tacę ofiarną w kościele,
Na wyklepany młotkiem placek ołowiany.

Starszy z Raczyńskich braci, Kurkiem zwany,
Nerwowo wywija żelaznym lemieszem.
Zebrać z ołowianki monety jak w kieszeń
Chce rzutem płaskim po ziemi ślizganym.

Wali ze zgrzytem w szajbę Urbańskiego
Lemiesz, a po drodze wymiata monety,
Lecz przemieszcza się dalej niż trzeba, niestety,
Choć Zygmunt myślami hamuje go w biegu.

Michał Florczyk czekał od dawna gotowy,
Lecz wcześniej dołączył do grających stawki
Mirek, kolega z jego szkolnej ławki,
Z braci Gąsiorów najbardziej nerwowy.

Wrócił ze szkoły, ledwie obiad skończył,
Karol Lasota, gracz w tace przebiegły.
Usłyszał głos walki na placu przyległym,
Więc do grających natychmiast dołączył,

Popatrzeć jak będzie kończył pierwszą turę
Maniek Wieczorek, chłop prosty jak świeca.
Ten wśród przeciwników nieraz postrach
wzniecał,
Przegranym pozostawiał wspomnienia ponure.

Ważąc lemiesz, spojrzął na rażenia pole
Zryte od uderzeń niby kretowisko,
Gdzie ziemia i żelazo, pomieszane wszystko.
A monety przepadły gdzieś ukryte w dole.

Koncentrował się. Na twarzy pobladły
Żelazną tacą prosto w środek mierzył.
Rozbryznięła się ziemia, gdy wreszcie uderzył,
A błyszczące monety na lemiesz upadły.

Jeszcze grającym nie wygasły chęci,
Choć spór rozstrzygnięto o monet podziały,
Co na tacach, pod tacami i obok leżały,
Bo na ubitej ziemi nowa pula nęci.

Kto dziś pamięta tamte gry tacami?
Odeszli chłopcy gdzieś w strony nieznane,
Tylko odłamki czasu tam porozrzucane
W sielskim Las Vegas tkwią za stodołami.

Pół wieku minie, nim je kto pozbiera,
A co zdoła wykrzesać z bolącej pamięci,
W wir wydarzeń dawno zgasłych wkręci
Starym piórem, przenosząc na dysk komputera.

Gdzie jest wiatr?

Bratankowi Tomkowi z zespołu muzycznego
„Krzak”.

Chciałbyś poznać świata sedno,
Człowieczeństwu wyraz dać.
Trapi cię pytanie jedno,
Czy garściami z życia brać?

Refren:

A gdzie jest wiatr, gdy nie wieje?
Nie pytaj, bo szkoda słów.
Nie warto budzić nadzieję
I w trosce topić ją znów.

Chciałbyś poznać smak miłości,
Kochać i kochanym być.
Tajemnicę znać przyszłości
Szczęściem jutra dzisiaj śnić.

Chcesz odnaleźć źródło mocy,
Jednym słowem zbawić świat,
Zanim życie cię zaskoczy
Nieuchronnym biegiem lat.

Spis treści

Wstęp	3
1. Karnawał	5
2. Idę do ciebie	6
3. Nie wróćę.....	7
4 .Czyiny mógłbym.....	8
5. Jest we mnie	9
6. Córki marnotrawne	11
7. Jeszcze tylko	13
8. Przed świtem.....	14
9. Korowód	15
10. Nie zatrzymam czasu	16
11. Pożółkły list	17
12. Ostatni kurs	18
13. Szukanie.....	19
14. Żniwa.....	20
15. Imieniny.....	22
16. Hipokryci	24
17. Kasia	26
18. Katastrofa	27
Odlamki czasu	29
19. Strefa młodości	30
20. Zapowiedzi.....	32
21. Chłopcy z Las Vegas.....	34
22. Gdzie jest wiatr	37